

NOWY Gwóźdź PROGRAMU

[maj|czerwiec|2010|]

Magazyn Studencki Niezależnego Zrzeszenia Studentów

w mieście

**SIĘGNAĆ
NIEBA**

społeczny

e-agora

komu w drogę

**MZUNGU
in NAIROBERY**

kulturalny

Powtórka z Chopina



**EKO
NAD BŁTYKIEM**



	Przygnębiająca wędrówka ku końcowi <i>Bogdan Koziara</i>	03
Kulturalny	Powtórka z Chopina <i>Dagmara Simenka</i>	04-05
	Dualizm (jeszcze nie) kosztuje <i>Adam Marcisz</i>	06
Felieton	Run! Bartek, Run! <i>Bartosz Pudełko</i>	07
	Studiujesz czy się ścigasz? <i>Anna Ślęczkowska</i>	08
	Nad BEłtykiem <i>Natalia Simenka</i>	09
EKO	Mzungu in NaiRobery <i>Andrzej Pyzik</i>	10-11
Komu w drogę	Zarządzanie Zasobami Studentów <i>Paulina Rąpała</i>	12
Kariera	Koolki do dziurki <i>Mariusz Pałka</i>	17
Aktywnie	Każdy chciał kiedyś machnąć pałką <i>Magdalena Cieślak</i>	18-19
	Piłka w klatce <i>Tomek Bilewicz</i>	20-21
	e-agora <i>Hanna Kostrzewska</i>	21-22
Spółeczny	Mohamed Kowalski i Hassan Schmitt <i>Mariusz Tomala</i>	23
	Sięgnąć nieba <i>Paulina Patrylak</i>	24-25
W mieście	Zupa z Gwoździa <i>Jan Frejowski</i>	26
Relaks	Komiks <i>Tomasz Makuch</i>	27

wydawca:

Niezależne Zrzeszenie Studentów
Akademii Ekonomicznej w Katowicach
e-mail: nzs@ae.katowice.pl

redaktor naczelny:

Dagmara Simenka

z-ca redaktora:

Nina Bocheńska

redaktor prowadzący:

Dagmara Simenka

redakcja:

Mariusz Tomala, Roksana Nowak, Agnieszka Grenke,
Paulina Patrylak, Hanna Kostrzewska, Weronika Sieroń,
Adam Marcisz, Natalia Simenka, Anna Ślęczkowska,
Magdalena Cieślak, Bogdan Koziara, Katarzyna Kuźmicka

współpraca:

Grzegorz Czekala, Alicja Leś, Tomek Bilewicz,
Bartosz Pudełko, Jan Frejowski

korekta:

Kamila Malinowska

projekt okładki:

Agnieszka Kotulska

skład i opracowanie graficzne:

Agnieszka Kotulska, Paweł **PAWOL** Palarczyk

marketing i reklama:

Nina Bocheńska, Anna Adamus, Izabela Bujok

kolportaż:

Katarzyna Budzisz

druk:

DRUKAT Sp. z o.o.
ul. Mikołowska 100a
40-065 Katowice

adres redakcji:

ul. 1 Maja 50,
40-287 Katowice
tel./fax.: (0 32) 257 72 19
@: ngp.redakcja@gmail.com

Niezależne Zrzeszenie Studentów



Redakcja nie odpowiada za treść ogłoszeń
i nie zwraca materiałów nie zamówionych.
Zastrzega sobie prawo skracania i adjustacji tekstów
oraz zmiany ich tytułów.
Opinie zawarte w artykułach nie muszą być
zgodne z poglądami Redakcji.
© Wszelkie prawa zastrzeżone

WIOSENNA RE-REWOLUCJA



Majówka i Juwenalia za nami, a wakacje już na horyzoncie. Wpasowując się w ten beztrojski czas, postanowiliśmy wypełnić ten numer tekstami lekkimi (lecz nie błahymi), by czytanie „Gwoździa” wprowadziło Was w miły trans. Komu w drogę, temu czas, dlatego fundujemy Wam najświeższą relację prosto z Afryki, kolejną część cyklu miejskiego – tym razem o katowickim Drapaczu, a także opisy trzech sportów, które już w te wakacje mogą stać się Waszymi „naj”. A to i tak jeszcze nie wszystko...

W NZS-ie nowa siła! Nowy Zarząd, nowe wyzwania, a nawet całkiem nowe biuro! Gratulujemy Kubie Plucie – Przewodniczącemu NZS AE w Katowicach, Agnieszce Mydlak, Magdzie Izydorskiej, Ani Adamus oraz Gosi Szot, a także zupełnie nowej Komisji Rewizyjnej w składzie: Roksana Nowak, Tomek Ryś i Marek Kiczka. Życzymy Wam i całemu NZS-owi pozytywnych zmian i satysfakcji z działania! A wszystkim czytelnikom „Gwoździa” cudnych wakacji i do zobaczenia we wrześniu!

Dagmara Simenka
Redaktor Naczelna

Zapytaliśmy Was, co myślicie o ustawie antynikotynowej, która wprowadza zakaz palenia papierosów m.in. w środkach transportu publicznego, w miejscach zabawy dzieci, w szkołach i placówkach zdrowotnych. Oto co nam odpowiedzieliście:

Ostatnio Marszałek Sejmu Bronisław Komorowski pełniący obowiązki Prezydenta RP podpisał tzw. ustawę antynikotynową. W końcu! Nareszcie! Hurra! Palacze do domów! Nie będziemy musieli męczyć się w dymie na przystankach autobusowych, w pociągach, na ulicy czy w pubie. Każdy, kto będzie chciał zapalić, będzie musiał to zrobić w wyodrębnionym pomieszczeniu. Nie przeszkadza mi dym tytoniowy – bylebym go nie czuł. Palcie sobie, ile chcecie, ale nie tam, gdzie stoją osoby, którym to przeszkadza, które tego nie lubią i które wiedzą, że biernie palenie jest jeszcze groźniejsze od normalnego zaciągania się.

[Tomasz Ryś, IV rok Zarządzanie]

Siedząc ze znajomymi przy stole w barze, pociągając łyk piwa nadochodzi chęć na zapalenie. Przyzwyczaiłam się, że należy pytać ich o zgodę. W końcu nie muszą truć się razem ze mną. Można odejść od stolika lub do wydzielonej salki, gdzie można zapalić ze spokojem duszy, że nikt nie będzie się czepiał. Każdy z nas powinien mieć wybór. Wprowadzenie kompletnego zakazu jest dyskryminacją palących. Rozumiem – przystanek może nie jest najlepszym miejscem na konsumpcję fajki, ale z drugiej strony nie stoję naprzeciwko kogoś i nie dmucham mu dymem w twarz! Więc w czym problem? Zachowanie palacza jest odzwierciedleniem dobrego tactu, który powinien gościć w naszym życiu na co dzień. Dlaczego nie robi się sensacji z wyprawiania psów na spacer np. w okolicach placów dla dzieci? To chyba jest większym zagrożeniem niż dym, który rozejdzie się w powietrzu.

[Anka, II rok Ekonomia, I rok Zarządzanie]

NAPISZ DO NAS!

Na pewno jest coś, co Cię wkurza... na uczelni, imprezie, w pracy...
A może po prostu chcesz się z nami podzielić jakąś myślą, spostrzeżeniem..?

Przelej emocje na papier i napisz do Redakcji „Gwoździa”!

Listy ślijcie na adres:

ngp.redakcja@gmail.com

Najciekawsze listy zostaną nagrodzone oraz opublikowane na łamach naszego magazynu!



Przygnębiająca wędrówka ku końcowi

Ostatnimi czasy w świecie kina panuje moda na filmy o tematyce postapokaliptycznej. Wystarczy tylko przypomnieć sobie takie tytuły jak „Zombieland”, „Księga ocalenia” czy mający niedawno premierę „Legion”. A jako że sam jestem wielkim fanem tego typu produkcji, ta tendencja niezmiennie mnie cieszy.

Bogdan Kozłara



Bardzo zawiodłem się, kiedy usłyszałem o odwołaniu planowanej na 19 lutego premiery „Drogi” Johna Hillcoata. Spośród wszystkich wymienionych powyżej produkcji, to właśnie ta ostatnia budziła moją największą ciekawość i miała wszelkie predys-

pozycje, aby powalić rywali na kolana. Mimo iż polska premiera filmu wciąż pozostaje nieustalona, udało mi się go już obejrzeć, a zatem moje wątpliwości co do niego w końcu się skończyły. Z tymi wątpliwościami trochę przesadzam, ale „Droga” to jeden z tych obrazów, które intrygują od pierwszej uzyskanej o nich informacji. A oparta na bestsellerowej powieści Cormac’a McCarthy’ego produkcja, po prostu stanowiła dla mnie pozycję obowiązkową.

Obraz Hillcoata opowiada historię ojca i syna, podróżujących przez wyniszczony i umierający świat. Skupia się na ich walce o przetrwanie, dotykając przy tym granic człowieczeństwa. W ciągłym ruchu, wygłodzeni, bez bezpiecznego schronienia, próbują przeżyć. Ojciec, świadomy swojej choroby i bliskiej śmierci, stara się przygotować syna na czekające go niebezpieczeństwa, kiedy ten zostanie całkiem sam. A trzeba przyznać, że świat, w którym przyszło im żyć, wcale nie jest do tego najlepszym miejscem. Pośród ruin i zgliszczy czają się grupy rabusiów i kanibali. Brakuje również wody i jedzenia. Ojciec wydaje się powoli w tym wszystkim zatracać, nie zważając na fundamentalne wartości, a myśląc jedynie o chronieniu siebie i syna.

Niewiele można powiedzieć o fabule filmu, nie zdradzając przy tym zbyt wielu szczegółów. Dlatego dodam tylko, że „Droga” to tytuł w pełni oddający to, co dzieje się na kinowym ekranie. Nie ma tu wartkiej akcji czy nadmuchanych efektów specjalnych (choć trzeba przyznać, że zdjęcia postapokaliptycznego świata robią ogromne wrażenie), a wszystko skupia się przede wszystkim na relacjach ojca z synem i ich przeżyciach związanych z wędrówką. Wspominałem wcześniej, że obraz dotyka granic człowieczeństwa, które tak naprawdę są tu chyba najważniejsze. W trakcie seansu nieustannie podąża za nami niepokojąca myśl, że w głównym bohaterze coś pęknie, że nie wytrzyma i w końcu te granice przekroczy.

Myślę, że właśnie w tym miejscu warto wspomnieć o roli Viggo Mortensena, wcielającego się w postać ojca, gdyż wypadł w niej naprawdę rewelacyjnie. Patrząc na niego, nie mogłem oprzeć się wrażeniu, że on naprawdę gdzieś w głębi siebie walczy ze wszystkimi rozterkami i bardzo je przeżywa. Bardzo dobre epizody zagraли również Charlize Theron, Robert Duvall i Guy Pearce. Problem stanowi dla mnie jedynie Kodi Smit-McPhee, którego dziewczęcy płacz wyjątkowo mnie irytował. Niemniej w roli syna wypadł przekonująco. Całość utrzymana jest w niezwykle ponurym i szarym klimacie, co tylko podkreśla stworzona przez Nicka Cave’a nastrojowa muzyka. Tak przygnębiająca wizja świata potęguje w odbiorcy ukazane w filmie ludzkie cierpienie i niemoc człowieka w obliczu zagłady. A także jego psychiczne wyniszczenie.

Kończąc, chciałbym zacytować znanego polskiego pisarza Jacka Dukaję, którego słowa pięknie oddają, czym tak naprawdę jest ten film (i mimo że są to słowa wypowiedziane odnośnie książki McCarthy’ego, tak samo dobrze pasują do jej kinowej adaptacji): „Droga” to czarna jak węgiel elegia o tym kolorowym raju, w którym żyjemy, nie zdając sobie sprawy z naszego szczęścia.



Więcej recenzji na: www.filmosfera.pl

filmosfera

Dagmara Simenka



Powtórka

Choć urodził się 200 lat temu, ma konto na Facebook'u i MySpace. Gdyby jeszcze żył, na listach przebojów nie miałby sobie równych. Jego muzyka zachwyca i intryguje ludzi na całym świecie, a jedna z jego kompozycji stała się nawet inspiracją do choreografii tancerzy *You Can Dance*. Rok 2010 należy do niego. Fryderyk Chopin.

Uwspółcześnić geniusz

Nie ma wątpliwości, że obecny rok należy do jednego z najwybitniejszych polskich kompozytorów. Na wszystkie wydarzenia zaplanowane z okazji obchodów 200. rocznicy urodzin Fryderyka Chopina, państwo przeznaczyło blisko 170 milionów złotych. A trzeba przyznać, że urodziny te są rzeczywiście huczne i nieprzeciętne. Poza masą wydarzeń kulturalnych, takich jak wystawy, koncerty, spektakle, konkursy (plastyczne, wiedzy, poetyckie), które szczerze wypełniają kalendarium obchodów, najważniejszym punktem programu było otwarcie multimedialnego muzeum Chopina w Pałacu Ostrogskich w Warszawie. Uroczyste otwarcie miało miejsce 1. marca, natomiast zwiedzający mogli wyruszyć szlakiem Chopina od 6. kwietnia. To najnowocześniejsze muzeum biograficzne w Europie Środkowej przyciąga niesamowitą magią i nowoczesnością. Jeśli do tej pory kojarzyliście Chopina z nudą i smętną muzyką klasyczną, po wyjściu z tego miejsca zmienicie zdanie. Wielką zaletą muzeum jest indywidualne zwiedzanie, czyli doświadczanie historii na swój własny sposób. Żaden przewodnik nie nuży opowieściami ani nie ciągnie z jednej sali do drugiej. Własną ścieżkę zwiedzania wybiera się za pomocą biletu wyposażonego w technologię RFID, dzięki której możliwe jest swobodne korzystanie ze wszystkich multimedii. Główną ideą stworzenia tak nowoczesnego obiektu była nie tylko zmiana stereotypowego myślenia o muzeum, jako miejscu nudnych wycieczek szkolnych, ale również zmiana postrzegania samej postaci kompozytora. W końcu przez niego to całe zamieszanie.

Zaproś Chopina na domówkę

Natalia Hatałska, ekspert w dziedzinie alternatywnych form komunikacji marketingowej, twierdzi, że główny problem percepcji postaci Chopina tkwi w dużym dystansie do muzyki klasycznej (zwykle kojarzonej z nudą i patosem), a także znikomej wiedzy na temat życia i twórczości samego artysty. Głównym przekazem stworzonej przez Hatałską kampanii wizerunkowej jest hasło: „Chopin to Elvis swoich czasów”. W wykreowaniu nowej sylwetki kompozytora pomóc ma stworzenie swoistej mody. Fakty z życia Fryderyka mogą pomóc młodym ludziom spojrzeć na niego nieco bardziej przychylnym okiem. Czy wiecie, że Chopin wyemigrował jako dwudziestolatek? Nie był tchórzliwym chłopcem zamkniętym pod kloszem, zmuszonym do wytężonej gry na fortepianie. Miał niesamowitą słabość do

kobiet – to dla nich stworzył wiele kompozycji, dla nich zacięcie uderzał w klawisze. Ponadto był duszą towarzystwa, uwielbiał organizować imprezy u siebie w domu, żaden bankiet nie mógł się bez niego odbyć.



Złoty Piłsudski

W kilku odsłonach

Zarywał noce, tak jak my teraz, łamał zasady – jego muzyka wykraczała poza ramy pięciolinii – dziś powiedzielibyśmy, że tworzył alternative music. Co najlepsze, kochał lans!

Nigdy nie wychodził z domu bez białych rękawiczek, miał swojego fryzjera, krawca i szewca. Z natury bliższy współczesnemu celebrycie niż zgorzkniałemu grajkowi, prawda? Ktoś taki jak on, z powodzeniem mógłby wpasować się w rolę współczesnego idola. Gdyby Chopin wciąż komponował, na jego koncertach nie zabrakłoby rzeszy fanów i rozanielonych fanek. Naturalny, młodzieńczy bunt, wielki talent i wrażliwość to wartości wysoko cenione bez względu na przemijający czas.

Jakie szanse na „powrót” ma Chopin w dobie multimedialnych wodotrysków? Wirtualni zwolennicy poety pianina, jak o nim mówiono, to grupa 152 758 osób na portalu Facebook oraz 18 137 fanów na MySpace, a to i tak nie wszystko.

Tancerze popularnego programu You Can Dance – Po prostu tańcz stworzyli wspaniałą interpretację „Sonaty b-moll op. 35” w jednym z ostatnich odcinków, a dziennikarze przy każdej możliwej okazji apelują: „Nie zapominajcie o Chopinie!” Dzięki studentowi V roku historii na Uniwersytecie Wrocławskim, powstała nawet fabularyzowana gra „Chopin”, której założeniem jest poznanie postaci kompozytora poprzez detektywistyczne śledztwo. Także najmłodszych słuchaczy wzięto pod uwagę. Z myślą o nich powstała płyta „Menu Chopinowskie” z polonezami, mazurkami, walcami, a także wierszem czytany przez Zbigniewa Zamachowskiego.

Rok Chopinowski to doskonała okazja, by odrobić opuszczoną lub zapomnianą lekcję historii. To szansa, by jeszcze raz spróbować wsłuchać się w melodie, które niosą w sobie, poza ogromną dawką emocji, fragment naszej kultury. Chopin to prawdziwa gwiazda, dzięki której Polska ma szansę kulturalnie zabłysnąć.



DUALIZM

(JESZCZE NIE)

KOSZTUJE



Adam Marcisz



Każda reforma szkolnictwa wyższego, a nawet sam tylko jej projekt jest źródłem gorących rozmów, artykułów i sporów. Nie inaczej rzecz ma się z proponowaną reformą związaną z opłacaniem przez studenta drugiego kierunku studiów dziennych, proponowaną przez minister Kudrycką.

To, co powiodło panią minister do próby zamachu na konstytucję to chęć „wygenerowania więcej bezpłatnych miejsc na państwowych uczelniach”. Więcej bezpłatnych miejsc kosztem tych, którzy nie będą w stanie opłacić drugiego kierunku i tylko z tego powodu go nie rozpoczną. W dodatku na korzyść tych, którzy są od nich ubożsi, ale niestety tylko intelektualnie? Przecież dla tych, którzy problemów finansowych w domu nie mają, opłacenie drugiego kierunku problemem nie będzie. Trudno określić taką sytuację inaczej, niż jako po prostu: niemoralną. Być może nie jestem wykształcony w zakresie prawa tak jak pani Kudrycka, ale mimo wszystko wydaje mi się, że taka reforma jest sprzeczna z konstytucją. Nauka na uczelniach publicznych jest bezpłatna, z wyjątkiem oczywiście studiów zaocznych, ale to zupełnie inna sprawa. Pytam więc, dlaczego niektórzy będą musieli zapłacić? Wydaje mi się, że jest to pierwszy krok do wprowadzenia wcześniejszej reformy proponowanej przez minister Kudrycką, mianowicie wprowadzenia czesnego za kształcenie na uczelniach państwowych oraz systemu kredytów wzorowanych na tym działającym w USA i Wielkiej Brytanii, do którego moim zdaniem trzeba by nie tyle kolejnej reformy, co rewolucji w polskim szkolnictwie i to nie tylko wyższym, a już gimnazjalnym. Argumentacja o chęci „wygenerowania większej ilości bezpłatnych miejsc” jest absurda. Miejsc jest sporo, a dostają się najlepsi, nie każdy może być prawnikiem i lekarzem. Zresztą zawsze pozostają studia zaoczne, w weekendy, w tygodniu można pracować i zarobić znacznie więcej niż na czesne potrzeba, argument o tym, że kogoś nie stać do mnie nie tafia. Z miejscami pracy w Polsce wcale nie jest aż tak ciężko,

a poziom kształcenia powinien być taki sam jak na studiach dziennych, (choć respektowanie tego przepisu przez różne uczelnie to już temat na inny artykuł). Zawsze jednak trzeba doszukiwać się pozytywnych aspektów, lecz niestety w tym wypadku ciężko mi takowe znaleźć. Może tylko to, że różnica punktowa podczas rekrutacji na ostatnich miejscach listy między tymi nad i pod kreską jest niewielka (czasem kwestia jednego celniejszego strzału w pytaniu zamkniętym na maturze). Różnica „intelektualna” nie jest więc wcale taka duża, no i dla pojedynczych osób reforma może się okazać zbawienna. Na pewno rozpocznie się także masowa eliminacja „osobników” działających według zasady „w tym roku może spróbuję tego”, bo za przerwanie studiów i podjęcie nowych również trzeba będzie zapłacić. Państwo fundować będzie bowiem jedynie jedenaście semestrów bezpłatnej nauki (jeden semestr rezerwowy - z wyjątkiem medycyny, która trwa 12 semestrów i całość naturalnie miałaby być bezpłatna). Za powtarzanie roku też będzie trzeba zapłacić. „Dwukierunkowcy” w Polsce stanowią według różnych badań statystycznych ok. 10% całej puli studentów, więc nie zabierają chyba wcale tak dużo miejsc. Więc reforma jest chyba jednak wymierzona głównie (choć najwyraźniej niecelowo) w tzw. „wiecznych studentów”. Jakkolwiek by nie patrzeć, faktycznie są oni „wyjadaczami” państwowych pieniędzy. Polskie uczelnie są, niestety, uczelniami słabymi, a to ze względu na finanse. Sami rektorzy proponują wprowadzenie płatnych studiów od 2015 roku. Coś jest w takim razie na rzeczy i reformy są potrzebne – nigdy nie będzie idealnie, ale zawsze może być lepiej. Niestety zawsze może być i gorzej, oby tylko przez tego typu reformy nie musieli cierpieć ci najzdolniejsi.

RUN, BARTEK, RUN!

Bartosz Pudełko



Wiosna. Ptaki ćwierkają, drzewa się zielenią, kobiety (w końcu) zakładają krótsze spódniczki. Cała masa zjawisk, które zwykle mają miejsce o tej porze roku, stała się naszym udziałem. Przesiadując w parkach, w celach głównie konsumpcyjnych, powoli zaczynam czuć się, jakbym oglądał czołówkę „Słonecznego Patrolu”. Wszyscy biegają. Młodzi, starzy, psy. Tylko ja nie biegnę, a powinienem zacząć.

Jogging – zjawisko obecne w naszym społeczeństwie już od pewnego czasu, sukcesywnie zdobywa coraz większą popularność. Pojawiają się kolejne masowe biegi, nad wszystkim patronat sprawują media i celebryci. Efekty potrafi wychwycić nawet taki laik jak ja, zwyczajnie rozglądając się dookoła. Bieg o Błękitną Wstęgę Balatonu (tak, jest coś takiego), Bieg o Nóż Komandosa, czy Bieg Katorżnika (przynajmniej wiadomo, czego się spodziewać). Biegi, biegi, biegi... Z natury jestem sceptycznie (delikatnie mówiąc) nastawiony do wszelkich mód, które przychodzą do nas z Zachodu. Może i intencje są słuszne, ale na polskim gruncie kojarzy mi się to z bezmyślnym małpowaniem niezrozumianych wzorców, tylko po to, aby być trendy. Apogeum takiego absurdu jest dla mnie szczególnie modny ostatnio nordic walking. Wystarczy chwytliwa nazwa (koniecznie z angielskiego) i fakt, że uprawia go Kwaśniewska, a przestaje on być łażeniem z dwoma kijami i staje się fenomenem czy nawet filozofią życiową. No i do tego kijki, które wcześniej kosztowały dychę, teraz można sprzedać za pięć.

Jednak z joggingiem jest inaczej. Jest to jeden z nielicznych „-ingów”, który cieszy się moim szczerym uznaniem. Po pierwsze, ze względu na swoją prostotę nie jest ani trochę snobistyczny, w przeciwieństwie do choćby ww. nordyckiego spaceru. Po drugie i najważniejsze, niesie on za sobą wyłącznie pozytywne konsekwencje; w każdym aspekcie. Zdrowie, wygląd, psychika – wszystko na tym skorzysta, przy czym nie musimy nadwyręzać portfela.

Czas i na mnie – pomyślałem. Warto w tym miejscu zaznaczyć, iż do tej pory szczytem mojej aktywności było wejście na trzecie piętro wydziału, a zadyszki dostawałem podczas wspinania się po stopniach autobusu. Nic to! Gustowny dresik, obowiązkowo mp3 w kieszeni, trasa obrana, plan minimum określony. Ruszamy. Kompetentna w tym temacie osoba powiedziała mi, że najgorsze są pierwsze kilometry, potem jest już łatwo. Przed biegiem brzmiało to wiarygodnie, ale już po kilkudziesięciu metrach uświadomiłem sobie, że samo zestawienie liczby mnogiej ze słowem „kilometr” napawa mnie lękiem. Mimo wszystko nie załamywałem się. Będzie dobrze! Po dziesięciu minutach modliłem się o rychłą śmierć... Jednak śmierć nie nadeszła. Nadszedł za to deszcz. I pewien pies. Przyznam, że zmotywował mnie do dalszej walki dość skutecznie i udało mi się wypełnić nieszczęsny plan minimum. Dobrze, że nie przyznaje się not za styl, bo moje „przyczłapanie” na metę nie było zbyt imponujące.

Fakt, moje pierwsze spotkanie z joggingiem trudno zaliczyć do całkiem udanych, ale nie zniechęciłem się, choć zwykle przychodzi mi to z łatwością. Wniosek jest prosty – coś w tym musi być. Poprawa samopoczucia (szybka) i kondycji (tu na efekty trzeba czekać dłużej) to chyba dobry powód, abyśmy wszyscy wzięli do siebie kultowy cytat z „Forresta Gumpa”. Mnie już czekają kolejne wyzwania, Boże dopomóż.



STUDIujesz CZY SIĘ ŚCIGASZ?

Czy życie studenckie w naszych czasach nie jest przereklamowane?

Słodki i różowy czas studiów znany z opowieści, w rzeczywistości coraz częściej przybiera kolor brudnego różu.

Anna Ślęczkowska



Sami studenci na kręcą się na efektywne wykorzystanie każdej sekundy, więc oprócz za-

pisywania się na dziwny przedmiot zwany „Zarządzaniem samym sobą”, robią tysiąc innych rzeczy.

W sumie można pochwalić aktywność młodych ludzi, ale spójrzmy na to zjawisko z bliska. Zaczniemy od dwóch (czasami trzech!) fakultetów. Studenci będący jednocześnie na kilku kierunkach, zajmują się głównie bieganiem między wydziałami, zajmując większość swojego wolnego czasu kserowaniem notatek z zajęć, na które się nie wyrobili. Wyginają oni czasoprzestrzeń i dumnie pogłębiają wiedzę, głównie z zakresu Kodeksu Uczelni, zasad zaliczania i przedłużania sesji. Inna część poświęca się organizacjom studenckim, kółkom i kołom. Osobiście podziwiam tę grupę. Są to jedyni reprezentanci studiowania w stylu klasycznym, godnymi do naśladowania. Niektórzy od razu porzucają ideały i stwierdzają, że studia to jedno, ale trzeba iść do pracy, zarabiać pieniądze. Są i tacy, którzy czas poświęcają swoim pasjom, a studiują, żeby rodzice mogli spać spokojnie. Jest też grupa młodych-zagubionych, którzy nie studiują, nie pracują ani się nie pasjonują.

Nie wiedzą, czego chcą od życia. Mam nieodparte wrażenie, że kiedy ludzie robią wiele rzeczy jednocześnie, to któraś z nich na pewno ucierpi. Oczywiście w XXI wieku, żyjąc w społeczeństwie informacyjnym, nie wypada nam siedzieć na łące i czytać filozoficzne dysputy Kierkegaarda. Ściągamy więc skrypt z internetu i biegniemy do pracy. Tego od nas oczekują, tego my oczekujemy od siebie samych. W magazynach studenckich możemy znaleźć 1001 sposobów jak studiować, co wpisać do CV, żeby znaleźć dobrą pracę. Czytamy wypowiedzi 101 absolwentów, którym się udało i różnymi drogami osiągnęli sukces. Niektórzy polecają praktyki, inni pracę od podstaw, a jeszcze inni pracę za granicą. Wypowiedzi takich ludzi przypominają mi o ciarki, gdyż jak się okazuje wszyscy wiedzieli, co chcą zrobić ze swoim życiem już w liceum. Ba, czasami wspomina się nawet czasy przedszkola, jako okres, w którym wielu osobom wyklarowało się ich marzenie. Oczywiście nie biorą pod uwagę, że najpewniej nie pamiętają nawet tamtych chwil, a znają je jedynie z opowieści swoich rodziców. Chcę wykrzyknąć, że to normalne, że 19-letnia osoba, kończąc liceum, niewiele wie o prawdziwej odpowiedzialności, nie wie, czym jest prawdziwa praca, gdzie ewentualnie mogłaby pracować (oprócz takich przykładów jak: szpital, radio, prasa, TV, miejsca pracy rodziców).

Często kierunek studiów wybierany jest na ślepo, a później nie wypada się poddawać i zmieniać zdania w połowie dorosłego życia. Schematy te mają źródło w presji, jakiej poddawani są studenci. Młodzi mają prawo podejmować złe decyzje, uczyć się na własnych błędach, próbować różnorodności, zmieniać zdanie, a nie iść stale w jednym (obranym na samym początku) kierunku—często wytyczonym przez rodziców. W końcu tylko młodym można to wybaczyć. Odnoszę wrażenie, że często sami młodzi stawiają sobie tak wysoką poprzeczkę. Już na trzecim roku, większość moich znajomych na Uniwersytecie Śląskim, (który notabene niebawem będzie miał kampus na Bankowej) bardziej poświęcało się pracy niż studiom. Chyba to zaczyna być postrzegane jako normalne. Dziwnym jest teraz człowiek, który tylko studiuje, co jeszcze w pokoleniu obecnych 30-latków było całkiem naturalne.

Co chciałabym jeszcze wykrzyknąć na koniec? Chyba tylko to, żebyśmy mieli umiar w tym wyścigu szczurów, który z roku na rok zaczyna zbierać plony w coraz wcześniejszym stadium. Pamiętajmy, że mamy całe długie życie na pracę, a tylko 5 lat na szaleństwo. Wykorzystajmy je jak najlepiej.

Natalia Simenka



NAD BĘŁTYKIEM

„No to opisuję:

– liiiiik – to mewy – iiiiiiik – pierwsze, co słyszę. Wylądowałem nad morzem. Plaż – Plaków dużo – każdy dzień obmyśliliśmy dużo wcześniej. Zapas energii jest tak spory, że wystarcza na rzucenie w ką plecaków i wyścigi na plażę. Prowiant zabieramy ze sobą, generalnie wszystko, co może się przydać. Pierwsze kroki po piasku gorącym i suchym są przyjemne, zresztą sama na pewno pamiętasz! Za rok koniecznie jedziesz z nami. Tam pod wydmami miejsce idealnie dla nas. Pustawo, praktycznie spokój. Grzesiek trzy razy przymierza się do skoku do wody, ja robię to za pierwszym podejściem, doprowadzając go tym do złości. Ściemnia się. Pssst – ktoś gasi pragnienie, reszta idzie w jego ślady – umilamy sobie rozmowy. Orzeźwienie. Opróżniamy butelki

prędko, wbijamy w piasek. Niektóre jeszcze wilgotne, oblepiają się ziarenkami. Ładnie. Anka, zdenerwowana jednym z moich komentarzy, kopie z impetem jedną z nich. Szum piachu słyszeć wyraźnie, tak bardzo wyludniona jest plaża. Szkło toczy się powoli, ale konsekwentnie w dół, zakładamy się dla żartu, czy wyląduje w wodzie, czy może nie?

– Jakie plany? – przerywa nam Michał, puszczając między jednym a drugim słowem kółka z dymu. Śmiejemy się, planujemy chwilę. – Źle, źle – mówi on – ja już coś dla nas przygotowałem! – wszyscy jesteśmy ciekawi. Ten uśmiecha się głupkowato, gasi papierosa wierząc nim dziurę w sykim piachu. Powyginany pet szybko wtapia się w towarzystwo – wokół niego skumulowane są inne,

podobne. Dopiero po godzinie przychodzą bliźniaczki (dojechały pociągiem). Identyczne, z uśmiechami od ucha do ucha, obie z lodami na patyku, takimi, jakie kupowałem jako pięciolatek. Zajądają, mówiąc jedna przez drugą, potem zwijają papierki w bezkształtne kulki i rzucają gdzie popadnie, bo już-już chcą się zbierać i „coś porobić”. Podtrzymuję ich apel, biorę ostatni łyk mojej frappe – do kosza mi za daleko, w przeciwną stronę, zresztą nazajutrz ktoś na pewno sprzątnie kubeczek. Otrzepujemy się z piachu, jest dosłownie wszędzie. Tuż przy wodzie znajduję foliowy worek, do którego zapakowałem Ci garść ziarenek. Odezwę się jeszcze.”

Pozdrawiam znad Bałtyku,
A.”



fol. E. Przygoda



fol. N. Simenka



fol. T. Ryś

EKO APEL!

STUDENCIE, zbliżają się wakacje!

Jeśli nie będziesz dbał o polskie plaże, wkrótce biura podróży zaoferują Ci: wypoczynek nad Bęłtykiem, urlop w Palarni zamiast Jastarni, Pustkę a nie Ustkę. Hel zmieni się w Hell, zwiedzisz Kłopot (były Sopot), plażę w Butelkowie, choć chciałbyś w Sarbinowie, a pocztówkę z Chłapowa nadasz z Ochłapowa!

Życzymy miłego wypoczynku i głowy na karku!

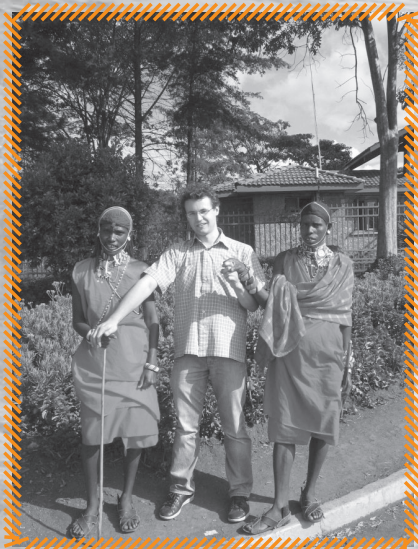
MZUNGU IN NAIROBERY

Andrzej Pyzik



Zawsze uważałem, że studia, niezależnie od kierunku, to pasmo nieskończonych możliwości rozwoju i poznawania nowych, ekscytujących dziedzin życia. Możliwości, które pozwalają odkrywać nowe horyzonty także poza granicami kraju, kontynentu. Przez pięć lat mieszkania razem z Erasmusami w akademiku, poznałem ten program na tyle dobrze, że zamarzyło mi się coś innego niż wymiana studencka, coś dalszego, miejsce, w którym jest zupełnie inaczej i gdzie nikt, kogo znam jeszcze nie był...

Po przejściu rekrutacji w organizacji studenckiej AIESEC, zacząłem szukać dla siebie odpowiedniej praktyki. I nie wiedzieć skąd pojawiła się ona – egzotyczna, nieznana, daleka i gorąca Kenia. Trudno powiedzieć co mnie przekonało, ale od pewnego momentu nie było mowy o żadnym innym kraju. Chciałem pojechać na wolontariat, a kiedy znalazłem dla siebie odpowiednią praktykę i zostałem na nią przyjęty, zacząłem przygotowania do przygody życia.



Pierwszym, podstawowym pytaniem, jakie się pojawiło to: jak tam dotrzeć? Jeśli po studencku, to oczywiście jak najtaniej, nawet jeśli miałyby to zająć trochę czasu. Mi cała podróż zajęła 70 godzin. Leciałem z Katowic do Poznania, stamtąd do Londynu, a potem przez Doha do Nairobi. Na lotnisku w stolicy Kenii czekała mnie pierwsza próba. Przez pierwsze 10 minut nie panikowałem, potem zacząłem sprawdzać loty powrotne. A prawda jest taka, że Kenijczykom się wszędzie spieszy, ale punktualni nie są ani trochę.

Po półgodzinnym czekaniu przywitani mnie Eric i Rose. Moja afrykańska przygoda oficjalnie się rozpoczęła, a ja stałem się Mzungu, czyli białym człowiekiem.

Już za progiem lotniska czekał na mnie nowy, nieznany i zaskakujący świat. Szybko zauważyłem, że na drodze obowiązują dwie zasady. Jedna, nie zawsze przestrzegana, to ruch lewostronny. Druga... to całkowity brak zasad! Jeśli ktoś kazałby mi prowadzić samochód w Kenii, gwarantuję co najmniej pięć stłuczek w ciągu pierwszych kilku minut. W Kenii większość ludzi porusza się używając matatu, czyli pojazdu, do którego nie mogłem się przyzwyczaić aż do ostatniego dnia pobytu. Kierowcy tych małych busików mają chyba nierówno pod sufitem. Choć na pierwszy rzut oka matatu nie wygląda na solidny samochód – wiercie, że muszą mieć dobre zawieszenie i, co najważniejsze – niezawodne hamulce. Tego się nie da opisać słowami, ale kierowcy jeżdżą na milimetry. I to po wszystkim i w każdą stronę. Po prostu trzeba to zobaczyć na własne oczy! Ciekawe jest, że kierowca nie sprzedaje biletów – od tego jest konduktor, który oprócz tego, porozumiewa się z kierowcą, przekazując, gdzie ma się zatrzymać. Robi to stukając ręką lub monetą w szybę albo dach. Ciężko sprecyzować, co oznacza konkretna liczba stuknięć, ale najwidoczniej oni się w tym orientują.

Mknąłem więc moim matatu przyzwyczajając oko do egzotycznej roślinności, a mój organizm do nowego klimatu. Biorąc pod uwagę, że był to luty, a w Polsce około -5 stopni Celsjusza, miałem dosyć duży przeskok do 25 stopni powyżej zera. Trudno było zrozumieć, że ludzie noszą długie rękawy, a gdy mówią o zimnie, mają na myśli każdą temperaturę poniżej 20 kresiek. Na szczęście dla mnie, w mieście, w którym zamierzałem pozostać przez kolejne dziewięć



tygodni panuje umiarkowana temperatura. Nairobi – stolica państwa, to żywe, zatłoczone i nieprzewidywalne miejsce...

W mieście tym żyje ponad 3 miliony ludzi. Jest stosunkowo niewielkie, więc nie dziwne, że wydaje mi się bardzo zatłoczone. Ludzie ciągle gdzieś pędzą, straganiarze przekrzykują się wzajemnie, a matatu tworzą jedyne w swoim rodzaju spiralne korki. To miasto przewrotnie nazywane jest przez przybyszy NaiROBERY, ze względu na dużą ilość kradzieży na ulicach i nie tylko. Ale zapewniam, że nie taki diabeł straszny, jak go malują. Wystarczy być ostrożnym na każdym kroku i w miarę pewnym siebie, a nic złego się nie stanie.

Jestem tego żywym dowodem, a większość opinii takich jak „Kenijczycy to złodzieje i oszuści” uważam za stereotypy. Niemniej jednak to, jak postrzegają białych jest zauważalne na każdym kroku. Tam Mzungu są traktowani jak chodzące bankomaty, ponieważ z założenia biali w Kenii to turyści, więc na pewno przyjeżdżają z dużą ilością gotówki. Kiedy widzą cię taksówkarze, od razu wołają „Taxi, taxi!”. Kierowcy i konduktorzy matatu zawsze cię zapraszają, nieważne gdzie jedziesz – w końcu to tylko 30 szylingów... A gdy się odmówi, to na odchodne powiedzą „No, to daj 20 szylingów na herbatę”. Jednak nikt nie jest agresywny ani zbyt natarczywy. Poza tym, po jakimś czasie potrafiłem już odpowiadać na takie zaczepki w suahili, dzięki czemu byłem traktowany inaczej niż zwykły turysta. Ludzie, których spotkałem i poznawałem bliżej byli naprawdę świetni. Moi gospodarze pokazali mi, że kenijska gościnność to nie mit. Nigdy nie poszedłem spać głodny, pomagali mi poznać Nairobi, Kenię, afrykańską kulturę, a także uczyli mnie suahili. Choć językami urzędowymi są angielski i suahili i praktycznie każdy posługuje się obydwojema, to nadal suahili jest bliższy Kenijczykom. To część ich dziedzictwa i mówią nim znacznie chętniej niż po angielsku. Nawet gdy rozmawialiśmy ze sobą po angielsku, wystarczyła chwila, impuls, żeby znaleźli jakiś inny temat i automatycznie przeszli na suahili. Trzeba im przyznać, że bardzo dbają o swoje dziedzictwo, kulturę i tradycję. Choć daje się zauważać wpływy amerykańskie i europejskie, to bez wątpienia Kenijczycy pozostają wierni swoim tradycjom. Począwszy od jedzenia (które jest tam bardzo, bardzo tanie – przyp. mzungu), poprzez przywiązanie do swoich plemion i stron, z których się wywodzą, po obrzędy obrzezania i model rodziny, w którym kobiety pracują bardzo ciężko, a mężczyźni przynoszą tylko pieniądze i wymagają w domu traktowania iście królewskiego.



Wszystko to, co nowe, na początku dziwi, zachwyca i inspiruje. Potem zawsze ujawnia się tzw. szok kulturowy. Trzeba się z nim zawsze liczyć, kiedy tylko wyjeżdża się na dłużej do zupełnie obcego kraju. Polega na tym, że po chwilach zachwyty, chłonięcia nowej kultury i poznawania kraju, przychodzi moment, kiedy nienawidzi się dosłownie wszystkiego – matatu, suahili, jedzenia i pogody. U mnie szok ten przyszedł bardzo szybko, ale też bardzo krótko trwał. Na szczęście byłem na niego przygotowany, a do normalności szybko przywróciła mnie głównie moja praca, która dawała mi satysfakcję i poczucie wypełniania pewnego rodzaju misji.

Moją praktykę odbywałem w Centrum Młodzieżowym organizacji Family Health Options Kenya. Jego praca to głównie edukacja młodzieży na temat HIV i AIDS, bezpiecznego seksu, bezpieczeństwa kobiet na ulicy, planowania rodziny, a także planowania przyszłości, zarządzania sobą i ludźmi, szukania pracy itp. W centrum są m.in.: siłownia, klub teatralny, zajęcia z kickboxingu, sala telewizyjna i bilard, które mają przede wszystkim przyciągać do tej edukacyjnej oferty. Poza tym szkolą tu webmasterów, fryzjerki i krawcowe, zapewniając im zawód, który pozwoli im się utrzymać w przyszłości. Grupą docelową Centrum są przede wszystkim dzieciaki i młodzież ze slumsów. Kto raz zobaczył, jak wyglądają slumsy i w jakich



warunkach żyją ci ludzie, może sobie wyobrazić, że to, co oferuje im Centrum Młodzieżowe jest naprawdę potrzebne. Dobrze było poczuć się częścią takiej jednostki, która zmienia krok po kroczku kawałek tego świata na trochę lepszy.

Każdy, kto tu przybędzie przeżyje swoje przygody, ale póki świat całkiem nie oszaleje i w Afryce nie ma śniegu, to można zastać tu tę samą, piękną krainę. Wiem, że kiedyś znów zechcę ujrzeć te wszędobylskie akacje, dzikie zwierzęta na wolności, włącznie z małpami, które są w stanie ukraść twój lunch, jeśli tylko spuścisz go na chwilę z oczu. To niebo – pełne gwiazd w nocy, idealnie błękitne za dnia, z chmurami zawieszonymi tak nisko, że wydaje się, że można ich dosięgnąć. No i te bezkresne krainy, których widok kończy się dopiero na horyzoncie lub pojedynczej górze, która nie wiadomo skąd wyrosła. Jeśli ktoś nie wybiera się na praktykę, to polecam ten kraj ze względów czysto turystycznych – jest po prostu piękny w całej swej egzotyce.



Co prawda nie sprzedawałem lodówki, żeby wyjechać do puszczy, a to, co czytacie nie znajdzie się prędko w najlepszych księgarniach, ale mam takie swoje „Tam i z powrotem”, bo zrobiłem jedną z najmniejbezpiecznych rzeczy, które człowiek może zrobić w życiu – wyszedłem z domu i wyciągnąłem rękę po swoje marzenie.

Andrzej Pyzik
Mhariri's mpenzi yangu

Zarządzanie Zasobami Studentów

Błyskawiczny rozwój i radość, jaką sprawia mi praca z ludźmi spowodowały, że odważyłam się wziąć w swoje ręce sprawy związane z Zarządzaniem Zasobami Ludzkimi w organizacji studenckiej. Jestem odpowiedzialna za przeszło 60 osób. Jest to niesamowita przygoda – gdyż jestem dopiero na drugim roku studiów.

Paulina Rąpała



Do dziś pamiętam plakat, który przykuł moją uwagę, choć było to ponad półtora roku temu, ciągle jest on dla mnie inspiracją. Hania, bo tak miała na imię dziewczyna z plakatu,

wyglądała na pewną siebie i energiczną osobę, do tego te słowa: kierowanie własnym zespołem, realizacja projektu i kampania reklamowa w Norwegii... Długo, aczkolwiek nieśmiało przyglądałam się miasteczku w tle posteru i biłam się z myślami: „To jest coś dla mnie!”, z drugiej strony: „No co ty, daleko ci przecież do tej całej Hani...” W końcu chyba moja ambicja wzięła górę i zdałam sobie sprawę, że lepiej żałować, że się coś zrobiło, niż że się nie miało odwagi podjąć wyzwania.

Wybrałam projekt o tematyce społecznej odpowiedzialności biznesu. Dlaczego? Odpowiedź jest prosta. Będąc na pierwszym roku studiów nie miałam pojęcia, co to w ogóle jest. Tak jest, „poznaj niepoznane...”. Naszym celem było nie tylko

zdobywanie wiedzy z zakresu CSR, ale także zorganizowanie konferencji, aby zapoznać z tą tematyką zarówno studentów, jak i nasze lokalne firmy.

Widziałam niesamowite postępy w swoim rozwoju, od nieśmiałej dziewczyny, do studentki, która umawia się na spotkania z dyrektorami przedsiębiorstw, od osoby niepewnej sobie, do świadomej swoich umiejętności i z niezaspokojoną ambicją. To naprawdę się działo. Nie będąc do końca zadowolona z efektów naszego projektu, postanowiłam spróbować sama. I tak na wiosnę 2009 rozpoczął swoją działalność - projekt Responsible Silesia. Nowi ludzie, nowa rola, nowe wyzwania. Był to czas, gdy byłam odpowiedzialna nie tylko za swój rozwój, ale też rozwój innych. Przyniosło to ze sobą więcej obowiązków, czułam, że muszę lepiej zarządzać swoim czasem, no i udało się! Od osoby niemal nie wyróżniającej się w październiku od innych świeżych AIESECerów, do osoby, która w maju już chciała więcej, a przede wszystkim widziała czego chce. Błyskawiczny rozwój i radość, jaką sprawiała mi praca

z ludźmi sprawiły, że zdecydowałam aplikować na pozycję wiceprezydenta do spraw zasobów ludzkich i dziś to ja jestem odpowiedzialna za wiele procesów HR-owych, które zachodzą w organizacji. AIESEC pozwala mi rozwijać siebie i otoczenie. Wiem, że nie marnuję czasu!





Nazywam się Martyna Adamik. Studiuję język rosyjski na Uniwersytecie Śląskim. Nie lubię o sobie opowiadać. Wolę, by robiły to za mnie moje fotografie. Nie ograniczam się do jednej dziedziny – świat jest zbyt piękny i różnorodny. Nie ukrywam jednak, że moją szczególną pasją są portrety, a kobiety to główny ich temat. Emanują spokojem i pięknem, łącząc się z otaczającą przyrodą. Tak je widzę i tak je uwieczniam. Zapraszam do mojego świata....



Samotnia. Wzgórza w Orschwire. Alzacja.



Beskid Makowski.



ul. Schodowa. Bielsko-Biała.



Mazurskie opowieści...



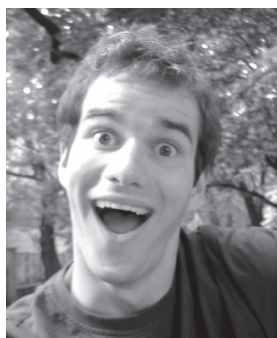
Odcienie kobiecości...



Więcej na:
tycjana.plfoto.com
maxmodels.pl/tycjana.html
fotogrupa.com

Niebywała technika, umysł stratega, odporność na nerwy i umiejętność przewidywania ruchów rywala to cechy, dzięki którym w tym sporcie możesz myśleć jedynie w kategorii sukcesu. Tak, kiedyś też śmiałem się, jak można oglądać grę w snookera kilka godzin non stop.

Mariusz Pałka



Nie będę rozwodził się nad pochodzeniem tego sportu, jego zawiłą historią i ludźmi na stałe wpisanymi w jego legendę. Kilkadziesiąt minut przed pisaniem tego artykułu zastanawiałem się,

jak można opisać snookera, by nie zniechęcić do niego, a (co byłoby, nie ukrywam, moim osobistym zwycięstwem) zainteresować naszych czytelników. Stosowanie wyszukanych metafor, epatowanie patosem czy podprogowe treści odłożyłem na bok. „Wbijanie rozjątrzonych bil do piekielnych czeluści łuz długim, ostro zakończonym, drewnianym posłańcem śmierci”. Hm, to nie brzmi najlepiej. Sam fakt patrzenia na dwóch eleganckich jegomości, którzy w zupełnej ciszy wbijają kulki do dziurek, dla wielu wydaje się być zwyczajnym masochizmem. Spotkałem się już nieraz z opiniami, że nawet gdyby samo obserwowanie graczy wiązało się z otrzymywaniem sowitego wynagrodzenia, stawka netto musiałaby wynosić co najmniej kilkanaście złotych na godzinę.

Nie wiem jak to się stało, że snooker wśród wielu moich zainteresowań zajął od razu dość wysoką pozycję. Na początku kompletnie nie rozumiałem, czym różni się „frejm” od „brejka”, bila różowa od zielonej, a Ronnie O'Sullivan od Johna Higginsa. Powolutku, z szybkością bili toczącej się do łuzu na drugim końcu stołu bilardowego, zacząłem pojmować, że wbijanie na przemian bil: czerwonej i innej kolorowej może przynieść jedynie pozytywny skutek. Z wielkim podnieceniem (dwuznaczność tych słów nieprzypadkowa) oglądałem Mistrzostwa Świata, Welsh Open czy inne międzynarodowe zmagania snookerzystów, poznawałem ich sylwetki na portalach internetowych, poszerzałem swoją wiedzę o cenne informacje, dzięki którym lepiej rozumiałem bilardowy świat. Poniekąd czułem, że nawet trochę się już w nim zdomowiłem.

Miałem szeroko otwarte oczy, kiedy Ronnie O'Sullivan w nieco ponad 6 minut uzyskał największy możliwy wynik w historii tego sportu. Niejednokrotnie zdarzało mi się klasnąć w dłoń czy nagrodzić słowem (powszechnie uznanym za nieparlamentarne) zagranie, które decydowało o losach pojedynku przy wyściełanym zielonym płótnem stole.

Do ambicji Don Kichota sporo mi jeszcze brakuje, zatem z wiatrakami, jakimi z pewnością są sceptyczne opinie na temat snookera, nie będę walczył. Jeśli ktoś chciałby badać zależność pomiędzy kolejnymi wbijanymi bilami a ilością ziewnięć mojego wujka, zapraszam do oglądania „snooka” wespół z nim. I nie pomogą superlatywy pod adresem graczy, wyszukane opinie co do stylu ich gry czy przejawione epitety dotyczące niekonwencjonalnych zagrań. Kamienna twarz, rzekłbym, z angielskiego pokerface, pozostanie niewzruszona. Wujek dokończy kolejną herbatę, (choć zawartości jego kubka nigdy nie sprawdziłem), Stephen Hendry rozprawi się z Marco Fu w stosunku 15:13, a ja zachwycę się po raz kolejny nad roztaczającym się na ekranie mojego telewizora widokiem. Snookera trzeba najpierw zrozumieć. Uświadomić sobie, że nie wystarczy wbić czerwoną, czarną, czerwoną, czarną i tak w kółko, aż do szczęśliwego końca. Cała ta otoczka: eleganckie fraki, żelazne nerwy i pokasłująca publika to stałe, nieodłączne elementy bilardowej rozgrywki. Rozgrywki nastawionej na potęgowanie emocji, uświadamianie sobie nawzajem przez przeciwników, kto jest snookerowym mistrzem oraz matematyczne dywagacje, na ile jeszcze można sobie pozwolić, umiejętnie dozując moc uderzeń.

Pamiętam finał Welsh Open, kiedy od 21 do 1 w nocy, leżąc w ciepłym łóżeczku, oglądałem finałowy pojedynek (pamięć do nazwisk chyba zawsze pozostanie moją piętą achillesową), nerki niczym moczowe fabryki nie dawały spokoju mojej cewce i mimo ogromnego naporu, przez 4 godziny nie potrafiłem oderwać się od tej fantastycznej potyczki. Po tym meczu zrozumiałem, że snooker to coś, czego szukam, by się odprężyć, ale i potężnie nasycić rozrywką. W pełni nasycić.

Raindy chciał kiedyś machnąć pałką

Przyznajcie sami przed sobą, że gdy byliście mali i oglądaliście amerykańskie filmy, w których Kevin Costner budował własne boisko do baseballu, a Tom Hanks trenował dziewczyny w filmie „Ich własna liga”, chcieliście wziąć kij od miotły, małą piłkę i wyjść na podwórko pograć w tę przedziwną grę z telewizji.

Magdalena Cieślak



Zasady

Oglądając skrót ligi MLB (Major League Baseball), pewnie do dzisiaj wielu z was nie ma pojęcia, dla czego zawodnicy biegają w kółko, a na tablicy

wciąż widnieje tajemnicze: 000100000 do 000300000. Celem gry jest zdobycie większej puli punktów niż drużyna rywali. Punkty zdobywa się podczas dziewięciu zmian (rund). Pełen punkt to okrążenie całego boiska, zdobycie wszystkich czterech baz. Zawodnik będący „na pałce” ma trzy próby odbicia piłki narzucanej przez miotacza drużyny przeciwnej. Kiedy uda mu się trafić w piłkę, biegnie tak, by zdobyć jak najwięcej baz, a do pałki podchodzi kolejny zawodnik z jego drużyny. Kiedy jednak któryś z nich trzy razy spudłuje, drużyny zamieniają się rolami i zaczyna się druga połowa rundy, w której drużyna przeciwna stara się zdobywać bazy.

Każda drużyna potrzebuje do gry dziewięciu zawodników, ponieważ na boisku znajduje się dziewięć baz. Do każdej z nich przypisany jest jeden bazowy, a także tak zwany łącznik pomiędzy drugą a trzecią bazą. Są to zawodnicy wewnątrzpolowi. Potrzebnych jest jeszcze trzech zawodników grających poza polem: z lewej, prawej oraz na środku.

No i oczywiście miotacz, i łapacz, który kuca za bazą domową. Do każdego sportu potrzebny jest odpowiedni sprzęt. Tak też adept baseballu musi zaopatrzyć się w rękawicę, która ułatwia chwytanie piłki. Gdy jesteśmy praworęczni, zakładamy ją na lewą rękę, by po złapaniu szybciej wyrzucić ją naszą sprawniejszą ręką. Zawodnicy polowi noszą różne rękawice w zależności od pozycji, na której grają. W grze głównym narzędziem jest oczywiście kij – aluminiowy lub drewniany.

Polski mit, czyli historia gry

Historia baseballu jest niejasna. Zazwyczaj przyjmuje się, że pochodzi on w jakimś stopniu od krykieta. Polacy jednak będą utrzymywać inaczej. Oczywiście już od średniowiecza rozwijała się u nas prosta gra zespołowa zwana palantem, w której odbijało się piłkę drewnianym kijem i obiegało wyznaczony teren tak, by nie zostać trafionym przez przeciwnika. Polscy emigranci w Stanach Zjednoczonych niewątpliwie grali w tę grę, co jako tezę przytacza między innymi Norman Davies w „Bożym Igrzysku”. Kto wie, być może Polacy przyczynili się do powstania jednego ze sportów narodowych USA. Niemniej jednak unormowana historia baseballu rozpoczęła się w 1845 roku wraz z powstaniem w Nowym Jorku klubu The Knickerbockers. W chwili obecnej najbardziej znaną Ligą Baseballu jest Major League Baseball. Uczestniczy w niej 30 drużyn. Składa się ona z dwóch lig – National League (Kanada) i American League (USA). Najwięcej mistrzostw MLB na swoim koncie posiada klub New York Yankees – aż 27 tytułów.

Polacy nie gęsi, czyli Polska Liga Baseballu

Polska liga wystartowała w 1984 roku. Polski Związek Baseballu i Softballu (żeńską odmianą) powstał w 1978 roku, jednak wcześniej już funkcjonował jako Polski Związek Piłki Palantowej i Baseballu powstały w roku 1960. Kontakty z czechosłowackimi zespołami miały miejsce już w latach pięćdziesiątych i sześćdziesiątych. Oficjalnie jednak za pierwsze spotkanie baseballowe uważa się mecz z holenderską drużyną Foresters Heilo, które odbyło się w 1983 roku. W chwili obecnej Polski Związek Baseballu i Softballu (PZBall) rejestruje Ekstraligę (8 drużyn) oraz Pierwszą i Drugą Ligę (po 3 drużyny w każdej), Ligę Softballu i Małą Ligę Juniorów. Łącznie zapisane są 64 kluby. Sezon baseballowy w Ekstralidze trwa od wiosny do jesieni. Składa się z dwóch rund: rundy zasadniczej i rundy play-off. W trakcie rundy zasadniczej drużyny grają w systemie „każdy z każdym – mecz i rewanż”. W rundzie play-off pierwsza czwórka z tabeli rozgrywa półfinały (do trzech wygranych meczów). Zwycięska para walczy o tytuł Mistrza Polski w serii *best of five* – również do trzech wygranych. W trakcie rundy play-off rozgrywane są również serie play-out – decydujące o kolejności w drugiej czwórce Ekstraligi. Odbywają się one analogicznie, jak walka o miejsca I-IV, z tą różnicą, że seria półfinałowa rozgrywana jest według zasady *best of three* (do dwóch wygranych meczów).

Zespół, który po zakończeniu obu rund zajmuje 8. miejsce w Ekstralidze, automatycznie spada do I Ligi, natomiast zespół, który kończy sezon na 7. miejscu, walczy z wicemistrzem I Ligi o prawo do gry w Ekstralidze w kolejnym sezonie, według zasady *best of five*.

Obecnie broniącym tytułu Mistrza Polski jest klub TSB Demony Miejska Górka. Niekwestionowanym liderem w ilości zdobytych tytułów Mistrzowskich jest MKS Kutno (13), po cztery razy sięgali, bo pierwsze miejsce KS Silesia Rybnik oraz BK Jastrzębie, trzy razy Skra Warszawa oraz po jednym mistrzostwie Dęby Osielsko oraz obecny Mistrz Demony Miejska Górka.

Należy dodać, że baseball to sport rodzinny. W niedzielne popołudnia całe rodziny przychodzą na stadion, by pooglądać mecze. W Stanach Zjednoczonych nigdy nie zapisano „ustawek”, a największe konflikty powstają przy łapaniu piłek wylatujących za boisko na trybuny lub przy dyskusjach o zimnych hot-dogach ze sprzedawcą. Z baseballlem łączy się swoista kultura – charakterystyczne czapki, maskotki, żucie tytoniu i zbieranie kart z gwiazdami tego sportu. Baseball otoczony jest mitem i magią, którą mało kto rozumie, ale która jednak przyciąga. Zatem do boju i łapać za kij! Nigdy nie jest za późno, by spełniać swoje marzenia z dzieciństwa.

stownik

Batter – pałkarz

Batter box – strefa pałkarza

Strike – Gdy pałkarz machnie i nie trafi w piłkę lub nie machnie, a piłka jest dobrze narzucona.

Obszar foul – Obszar po za linią boiska

Foulball – Strike, gdy piłka wleci na obszar foul

Strike out – Wyeliminowanie gracza, miotacz narzucić 3 strike.

Strefa strike – Jest ograniczoną powierzchnią na szerokość bazy domowej i na wysokości pomiędzy klatką piersiową (dołami pachowymi) a kolanami pałkarza.

Ball – Błąd pałkarza, narzut, który nie przechodzi przez strefę strike.

4 ball – Gdy pałkarz 4 razy popełni błąd. Pałkarz bez wybijania piłki przechodzi na pierwszą bazę.

Single – Uderzenie pozwalające dostać się pałkarzowi na pierwszą bazę.

Home Run – Zdobycie wszystkich 3 baz i dobiegnięcie do bazy domowej w jednym odbiciu lub gdy pałkarz odbije piłkę poza ogrodzenie terenu boiska.

Grand Slam – Wybiecie przez pałkarza home run, podczas gdy na wszystkich trzech bazach stoją inni zawodnicy ataku jego drużyny, zalicza się wtedy 4 punkty, tak jakby każdy z nich zdobył wszystkie bazy.

Biegacz – Gracz, który odbił już piłkę i jest na boisku.

Out wymuszony – Kiedy biegacz został zmuszony do biegu (miał zrobić miejsce zawodnikowi, który właśnie odbił piłkę) a dotarł do następnej bazy po piłce (zawodnicy przeciwnej drużyny szybciej dorzucili wybitą piłkę do swojego bazowego).

Out przez dotknięcie – Biegacza można wyeliminować przez dotknięcie go piłką w rękawicy lub w ręce, kiedy nie jest on w bazie.

PIŁKA W KLATCE

Jeśli interesujecie się choć trochę piłką nożną, to na pewno pamiętacie świetną reklamę telewizyjną Nike sprzed kilku lat. Grupa najlepszych na świecie piłkarzy podzielona na trzyosobowe zespoły rozgrywa mecz w specjalnej klatce.

W rolach głównych:

Henry, Ronaldo, Figo, Roberto Carlos, Nakata i Eric Cantona, jako arbiter w garniturze.

Tomek Bilewicz



Fikcja?
Futuryzm?
Gra odległej
przyszłości?
Zwykła
komercja?
Nie do końca. Real-
ny piłkarski
świat stwo-

rzył coś podobnego, specyficzne-
go, efektownego i zachwyił się tym.
Od niedawna możemy to poznawać
także i my. Do Polski zawitała bo-
wiem nowa odmiana futbolu – jor-
kyball, czyli piłka nożna w klatce.
Najbardziej popularny na świecie
sport doczekał się już wielu odmian
i wariantów. W piłkę gra się wszę-
dzie. Na murawie pięknego stadio-
nu i na chodniku między ławkami.
Gramy na powietrzu i na hali. Ko-
piemy tradycyjne piłki i niewielkie
zośki. Rozgrywamy mecze, gdzie li-
czy się przede wszystkim zespoło-
wość oraz rywalizujemy na technikę
i kreatywność w ramach street sty-
le. Świat kręci się wokół piłki i kręci
się tak samo jak ona. A że ludzka po-
mysłowość i zamiłowanie do futbo-
lu nie ma granic, stworzono kolejną
jego odmianę.

Dyscyplina ta powstała we Francji.
I to już dosyć dawno temu, bo przed
dwudziestoma trzema laty. Wymyślił
ją Gilles Paniez, mieszkaniec Lyonu,
który w swoim garażu urządził sobie
niewielkie boisko. Początkowo roz-
grywał mecze razem ze swoimi zna-
jomymi. Pomysł wywołał jednak za-
chwył wielu miłośników futbolu
i dziś nazwa **Jorkyball** jest zastrze-
żonym znakiem towarowym. Naj-

pierw jednak grę zaprezentowano
na Mistrzostwach Świata w piłce
nożnej we Włoszech w 1990 roku
w formie animacji. Dopiero wtedy
zwana też piłką nożną w klatce lub
futbolowym squashem dyscypli-
na zaczęła rozprzestrzeniać się po
całym świecie. Francja od tego cza-
su doczekała się już stu sal do gry,
osiemdziesięciu zawodowych klu-
bów i profesjonalnej ligi jorkyballu.
W kraju znad Loary w tę odmianę
piłki nożnej grają zarówno męż-
czyźni jak i kobiety. Rozgrywa się
mistrzostwa Francji oraz rywalizu-
je się o Puchar Francji i Puchar Ligi
Francuskiej. Nie brakuje też turnie-
jów regionalnych.

W naszym kraju dyscyplina ta po-
jawiała się w grudniu zeszłego roku,
kiedy to w Sosnowcu otwarto
pierwsze boiska do jorkyballu.
Jedyne, jak na razie, centrum tego
sportu w Polsce dysponuje trzema
«klatkami» o wymiarach 5 m x 10
m x 2,70 m. Bramki to kwadrat 110
cm x 110 cm. Gramy specjalną,
niewielką, wykonaną z filcu piłką
o wadze 200 g. Rywalizujemy
dwóch na dwóch. Każda drużyna
składa się obrońcy i napastnika,
z których każdy ma inną rolę i in-
neprzywileje i możliwości na bo-
isku. Plac gry podzielony jest bo-
wiem na strefy, do których nie każ-
dy zawodnik może wejść. Ewentu-
alne przekroczenie przepisów ka-
rane jest rzutem wolnym z jed-
nej z pięciu „leżących” na boisku li-
nii. Drużyna, która zdobywa bram-
kę wznowia mecz właśnie takim
stałym fragmentem gry. Gramy do
trzech wygranych setów. Każdy set

kończy się po zdobyciu przez jed-
ną z drużyn siedmiu bramek.
Tylko w piątym, w razie remisu
w końcowej fazie rozgrywki, ry-
walizacja odbywa się do momen-
tu uzyskania przez jeden z zespó-
łów dwubramkowej przewagi.
Przepisów jest jeszcze więcej i na
początku możecie być nieco zdez-
orientowani, ale po godzinie gry
na pewno załapiecie, o co w tym
chodzi.

Przekonacie się również, że to
nie jest zwykła kopanina w szczel-
nie zamkniętym pomieszczeniu.
To nie tylko znęcanie się nad ścia-
nami i przeciwnikiem. Walka trwa
mimo zakazu kontaktu, ale nie
ona jest najważniejsza. Technika
przydaje się, ale chodzi jeszcze
o coś innego. Mianowicie jorky-
ball to przede wszystkim wytrzy-
małość i taktyka. Wydaje się,
że bieganie po tak niewielkim bo-
isku nie powinno zmęczyć. A jed-
nak. Przerwy w grze nie ma pra-
wie w ogóle, a piłka lata niczym
pocisk, odbija się jak flipperowa
kulka, skacze i ucieka bez prze-
rwy. Autor tego tekstu, chociaż
gra w nogę, gałę, czy jakby tra-
dycyjnej „kopanej” nie nazywać
w miarę regularnie, doświadczył
tego na własnej skórze. Jorkyball
obnaża fizyczne słabości. Bez nie-
nagannej kondycji dłużej niż go-
dzinę nie pogramy. A sześćdzie-
siąt minut to zdecydowanie

za mało czasu, by nacieszyć się piłkarskim squashem.

W jorkyballu zakochało się już wielu. Wystarczająco wielu by rozegrać pierwsze mistrzostwa świata w tej dyscyplinie. Odbędzie się one w czerwcu w stolicy Akwitania – Bordeaux. Wśród jedenastu drużyn narodowych obecna będzie również polska ekipa. Pozostałe reprezentacje, które zgłosiły chęć udziału

w turnieju to Belgia, Monako, Izrael, Węgry, Meksyk, Hiszpania i Portugalia.

Francuzi raczej nie będą mieli sobie równych, ale może za kilka lat sytuacja się zmieni. Dyscyplina się rozwija. W Polsce kolejne boiska mają powstać w Krakowie i Wrocławiu. W jorkyball będzie grać coraz więcej ludzi na całym świecie. I coraz więcej ludzi zacznie patrzeć na piłkę noż-

ną z zupełnie nowej, fascynującej perspektywy.

Jorkyball to bowiem świetna zabawa o wysokiej „grywalności” i dynamice, która rządzi się swoimi własnymi, odmiennymi od tradycyjnego futbolu, prawami. Do tego sportu najlepiej pasują słowa motywu przewodniego wspomnianej reklamy Nike, które śpiewa sam Elvis Presley: „A little less conversation, a little more action, please.” Jeśli nie masz lęków klaustrofobicznych, za to masz ochotę w nietypowych warunkach podjąć wyzwanie w piłkarskiej rywalizacji, to jorkyball jest grą dla Ciebie. Warto spróbować. W koń-

e agora

Hanna Kostrzewska



Żyjemy w epoce nowych mediów, w społeczeństwie sieci. Wciąż rosnąca liczba ludzi używa komputera i Internetu, jako podstawowych narzędzi pomagających przeżyć we współczesnym świecie. Sieć, łącząc funkcje i możliwości różnych mediów, zaspakaja coraz większą liczbę ludzkich potrzeb.

Dla ogromnej liczby ludzi Internet stał się głównym źródłem informacji i kanałem komunikowania. Możliwości i zasięg sieci zdają się zauważać także politycy, kierując część swoich działań marketingowych do e-przestrzeni. Drzwi do pełnego i skutecznego wykorzystywania Internetu w komunikowaniu politycznym otworzył na oścież Barack Obama. Kampania prezydencka Obamy była znakomitym przykładem sprawnego wykorzystania opcji oferowanych przez marketing polityczny online i narzędzi e-PR. Obama nie ograniczył swojej internetowej działalności do oficjalnej strony internetowej czy kontaktu e-mailowego. Na potrzeby kampanii stworzono specjalny portal angażujący internautów w różnego rodzaju aktywności (www.mybarackobama.com).

Za pośrednictwem serwisu użytkownicy mogli dołączyć się do grupy wolontariuszy, dotować kampanię, tworzyć bloga, uczestniczyć w społeczności czy też zostać telemarketerem i rozpocząć aktywne wspieranie ówczesnego kandydata. Wszystkie potrzebne materiały dostępne były oczywiście online. W ramach kampanii pojawił się także specjalny serwis dementujący plotki na temat polityka. Oprócz oficjalnej strony i serwisu, Obama zaistniał również w popularnych portalach społecznościowych, takich jak: Facebook, MySpace, Digg, Flickr, LinkedIn. Dzięki różnym formom sieciowej aktywności udało mu się zgromadzić mnóstwo wirtualnych zwolenników, co niewątpliwie w pewnym stopniu przełożyło się na wynik wyborczy.

Przykład amerykańskich wyborów (będących już, bądź co bądź historią) może być dobrą podpowiedzą także i dla rodzimych polityków. Część z nich już prowadzi „internetowe życie”, wykorzystując popularne formy serwisów internetowych i blogów. Czy jednak zakrojona na szerszą skalę kampania wyborcza online jest w Polsce możliwa? Czy pretendujący do miana rządzących, zauważając rosnące znaczenie medium internetu? Przyspieszone, zbliżające się wielkimi krokami wybory prezydenckie zapewne poprzedzi, nieco odmienna od tradycyjnych, kampania wyborcza. Ograniczony czas jest niewątpliwie utrudnieniem dla kampanii realnej, ale może stanie się szansą kampanii wirtualnej? Komunikacja internetowa, niezależna czasem i przestrzenią, tańsza od tradycyjnej i coraz bardziej popularna, może stać się znakomitym kanałem dla przekazu politycznego. Jak na razie tylko część z kandydatów na prezydenta zdaje się traktować poważnie komunikację internetową. Wśród pojawiających się w przedwyborczych sondażach kandydatów, większość posiada już swoje oficjalne strony internetowe. W niektórych przypadkach politycy potykają się jednak na jednostronności przekazu (ograniczoną opcję kontaktu, jaką jest łączność z biurem poselskim proponują B. Komorowski czy J. Kaczyński). Bardziej rozwinięte „sieciowe egzystowanie” prezentują A. Olechowski i G. Napieralski. Obaj udzielają się w popularnych serwisach typowo społecznościowych (np. Facebook.com, nasza-klasa.pl) oraz innych serwisach sieciowych (YouTube, Flickr, Flaker). Dodatkowo Olechowski udostępnia w swojej witrynie własny kalendarz Google (umożliwiający śledzenie aktywności i spotkań), natomiast Napieralski umożliwia internautom bezpośredni kontakt za pośrednictwem komunikatorów (Gadu-Gadu, Skype).

Pawlak i Jurek wykorzystują formułę internetowego pamiętnika, w którym internauci mogą komentować notki polityków, jednak brak odpowiedzi na owe komentarze sprawia wrażenie jednostronności przekazu.

Aktywizować internautów wyraźnie chce J. Korwin-Mikke, który za pośrednictwem Internetu poszukuje wolontariuszy do swojej kampanii (za pośrednictwem strony sztabu wyborczego). Możliwości Internetu, jako narzędzia marketingu, także politycznego, są ogromne. Być może dalsza część kampanii prezydenckiej pokaże, że polscy politycy zdają sobie sprawę z siły tego medium. Jak na razie tylko pojedynczy kandydaci kładą nacisk na ten kanał politycznego komunikowania. Internetowa kampania jest szansą dotarcia do wielu potencjalnych wyborców, w tym szczególnie istotnego grona młodych ludzi. Umożliwia ona nie tylko atrakcyjny w formie przekaz informacji, ale także otwiera drogę do obustronnej komunikacji.

Internet pozwala nie tylko prezentować treści, ale także podejmować interakcję z odbiorcami. Pozwala na specyficzny kontakt z elektoratem, niejednokrotnie pełniejszy i bardziej owocny, niż w czasie wyborczych wieców. Pozwala aktywizować i łączyć jednostki. Strata takiego potencjału byłaby oczywistym błędem. Trzeba więc czekać na prawdziwą e-kampanię i e-politykę.



Być może już niebawem sieć stanie się nie tylko źródłem
wiadomości o kandydatach i sondażach,
ale rzeczywistą platformą debaty, współczesną agorą?



Mohamed Kowalski i Hassan Schmitt

I wreszcie przyszedł maj. Czas wyczekiwanych z utęsknieniem Juwenaliów i mniej oczekiwanych zaliczeń semestralnych. To także okres, gdy, jak mało kiedy, świętujemy narodowo. Już po raz szósty mieliśmy przyjemność obchodzić pierwszy dzień maja jako obywatele Unii Europejskiej.

Mam wrażenie, że nie do końca jeszcze potrafimy docenić wielkiej wagi wydarzenia, którego datę nasze dzieci, wnuki, prawnuki będą wkuwać jako obowiązkową i jedną z ważniejszych na lekcjach historii. Ciekaw jestem, jak za tych parę, paręnaście lat będzie wyglądać taka szkoła. Czy obok krzyża zawisnie półksiężyc? Hebrajska mądrość, greckie poczucie piękna, rzymskie prawo i chrześcijańska moralność. Wartości te stanowią od dawien dawna cztery filary cywilizacji europejskiej, na których bardziej lub mniej świadomie bazują państwa Starego Kontynentu, połączone w większości Unią. Do tego „serca Europy” legalnie bądź nie, docierają coraz liczniej przybysze o innej mentalności, religijności i kulturze – obywatele państw arabskich. Historia pokazuje, że nigdy nie kochaliśmy się za bardzo. Średniowieczne wyprawy krzyżowe owszem siały śmierć i zgorszenie, ale najpierw w 732 roku pod Poitiers to rycerstwo chrześcijańskie ocaliło kontynent przed niechybnym zalewem islamu.

Zatem 1:1.

Obecnie przyjeżdżają do nas w różnych celach, najczęściej w poszukiwaniu pracy. Gdy znajdują zatrudnienie, osiedlają się na stałe tworząc kolonie muzułmańskie wokół największych miast. Do tego zła sława, jaka ciągnie się za Arabami po pamiętnych zamachach w Nowym Jorku, Madrycie i Londynie, nie przysparza im popularności. Europejczycy zaczynają dostrzegać, że dając przybyszom przysłowiowy palec, ci zaczynają dobierać się do całej reki, dlatego niektóre kraje, takie jak Holandia, Francja czy ostatnio Szwajcaria, coraz bardziej restrykcyjnie podchodzą do problemu imigrantów islamskich. Szerokim echem odbiły się protesty w sprawie budowy wielkiego meczetu w Kolonii, a także w Warszawie- Ochocie, gdzie powstaje świątynia muzułmańska. Rzeczywiście, mahometanie zaczynają coraz bardziej rozpychać się łokciami. Domagają się poszanowania swoich tradycji, symboli religijnych, prawa do wielożenstwa, sądenia według szarlatu, czyli dopuszczenia m.in. kary śmierci, marginalizowania i uprzedmiotowienia roli kobiety, walki z niewiernymi.

Skarżąc się na rzekomą nietolerancję mieszkańców Europy, nie pamiętają o tym, że posiadanie symboli religijnych nieislamskich w Krajach Bliskiego Wschodu grozi śmiercią, regularne napady na chrześcijan kończą się pogromami, gwałtami, profanowaniem i niszczeniem świątyń. Zatem dopóki na ulicy Bagdadu, Rijadu czy Teheranu ksiądz nie będzie mógł spacerować sobie z Biblią w ręce, nie życząc sobie, by o czwartej rano budziły go nawoływania imamów na poranne modły do meczetu, a w letnim upale szczere współczucie wywoływał widok szczelnie pozawijanych niewiast. Smutne, że tak już musi być, że przez grupy zaślepionych fanatyków, którzy przez swe terrorystyczne działania wzbudzają nieufność, strach i uprzedzenie do ogółu społeczeństwa, nie potrafimy się do końca porozumieć. Mimo wszystko, nie ma powodów do paniki. W Polsce problem ten praktycznie w ogóle nie istnieje ze względu na małe zainteresowanie naszym monokulturowym krajem z nieliczną mniejszością muzułmańską. Niemniej jednak, jako Europejczycy powinniśmy trzymać rękę na pulsie, by nie zostać niemile zaskoczony. Bądź co bądź Turcy, Algierczycy i inni wykonują wiele ciężkich i brudnych prac, których przeciętny Niemiec, Francuz czy Brytyjczyk nie myśli nawet podejmować. Miło jest hasać wśród piasków pustynnych na wielbłądzie, delektować się aromatycznym tytoniem z shishy, czy zwiedzać i podziwiać perły arabskiej architektury. Zdecydowana reakcja muzułmanów na obrażające Mahometa karykatury w duńskiej prasie i ich szacunek do niego zmuszają do smutnej refleksji na temat własnej postawy wobec regularnie przedrzeźnianego Chrystusa np. w South Parku... Na zakończenie proponuje przy „Imagine” Johna Lennona zamknąć oczy, wsłuchać się w tekst i pomarzyć o świecie, gdzie wszyscy się kochają i szanują. Niemożliwe? Jeśli tak, to przynajmniej zostają marzenia. Peace!

Paulina Patrylak



SIĘGNAĆ NIEBA

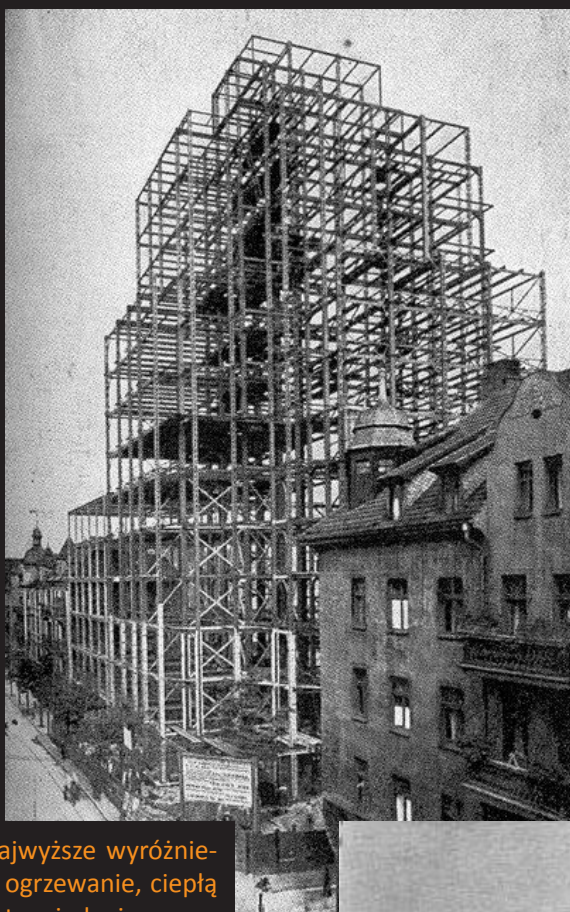
Dziś pewnie wielu z was, przechodząc obok tego budynku, nie zdaje sobie sprawy, że kiedyś był nazywany dumnie drapaczem chmur. Znów Katowice były pionierem – nasz drapacz był pierwszym w Polsce tak wysokim budynkiem.



Projektowanie go rozpoczęło się już w 1929 roku, kiedy to krach na nowojorskiej giełdzie (słynny „czarny czwartek”) sprawił, że kryzys szybko ogarnął cały świat. Nietrudno się było domyślić, że dotrze i do Polski. Właśnie wtedy śląskie huty znalazły się w niebezpieczeństwie. Górnośląskie Zjednoczenie Hut Królewska i Laura SA zostało uratowane właśnie dzięki drapaczowi. Jego szkielet pochłonął około tysiąc ton stali!

Warto wspomnieć również o propagandzie, w jakiej brał udział pierwszy dom wieżowy. Nie zapominajmy, że w tamtych czasach granica niemiecka znajdowała się kilka kilometrów na zachód za Katowicami. Nasi sąsiedzi mieli węża w kieszeni i nie w głowie im było budowanie drogich wieżowców. Cóż, za to mogli oglądać nasz zza granicy. A było go widać jak na dłoni. Gdzie znajduje się nasze rodzime чудо? Na ulicy Żwirki i Wigury (zbiegającej się z ul. Marii Curie-Skłodowskiej). Co do samej budowy – dzisiejsi robotnicy na A4 mogą sponać ze wstydu – konstrukcję szkieletu zmontowano w zaledwie trzy miesiące! Każdy dzień montażu i robót budowlanych był uwieczniany na filmie, który potem wyświetlono w katowickim kinie Rialto. Hm, czyżby kolejny prztyczek w nos sąsiadom z Zachodu?

Właściwie – budynki są dwa. Jak na rok 1933 (wtedy ukończono finalnie drapacz), połączenie ze sobą dwóch budowli za pomocą przejścia na wysokości czwartego piętra było prawdziwym powiewem nowoczesności. W niższym, sześciopiętrowym, znajdowały się biura Śląskiej Izby Skarbowej. Drugi, 14-piętrowy, miał 60 metrów wysokości i był załącznikiem mieszkalnym dla pracowników urzędu.



Mieszkanie w drapaczu to był prestiż, najwyższe wyróżnienie. Mieszkania miały łazienki, centralne ogrzewanie, ciepłą wodę. Wielu zwykłych obywateli mogło o tym jedynie pomarzyć. No, nie wspominajmy tu już na domiar złego – portiera, gospodarza domu, windziarza czy palacza. Nie mówmy też o trzech windach – osobowej, towarowej i ekspresowej – ta zatrzymywała się dopiero (o, dziwo!) od szóstego piętra. A pod ziemią... Skarbiec był. Tak, tak, dokładnie skarbiec, którego istnienie było skrywane w najgłębszej tajemnicy.

Mimo tak wspaniałej historii drapacz chmur, mianem najwyższego nie nacieszył się zbyt długo – jedyne 10 miesięcy. W Warszawie bowiem powstał wyższy (o 6 metrów) Prudential - biurowiec Towarzystwa Ubezpieczeń Prudential. Jednak nie ma co żałować - przez długi czas to właśnie o Katowicach mówiono, że to najbardziej amerykańskie miasto w Polsce. Trzynastka była służbowym mieszkaniem Teatru Śląskiego. Mieszkali tu Gustaw Holoubek, Wojciech Standeflo, Bernard Krawczyk oraz pisarze Kalman Segal i Bolesław Lubosz.

Zawsze przechodząc obok drapacza patrzę na niego z sentymentem... Tyle przetrwał... Kiedyś luksusowy – teraz zapomniany. A przecież jest cennym zabytkiem modernizmu. Czy naprawdę warto zatracać wielorakość stylów kosztem globalizacji i ujednolicenia wszystkiego na wzór „kolosalnych luster”? Mam nadzieję, że w te wakacje spojrzycie choć trochę przychylniej na Katowice – miasto, które zostało okrzyknięte brzydkim i szarym – skrywa piękną i barwną historię w każdym swoim zakamarku.



Zupa z Gwoździa

Jan Frejowski



**RÓB WSZYSTKO WEDŁUG UZNANIA,
CZYLI...**

Przepis na żurek po oligarchijsku

Józef Tischner napisał o przyjaźni i prawdzie tak:

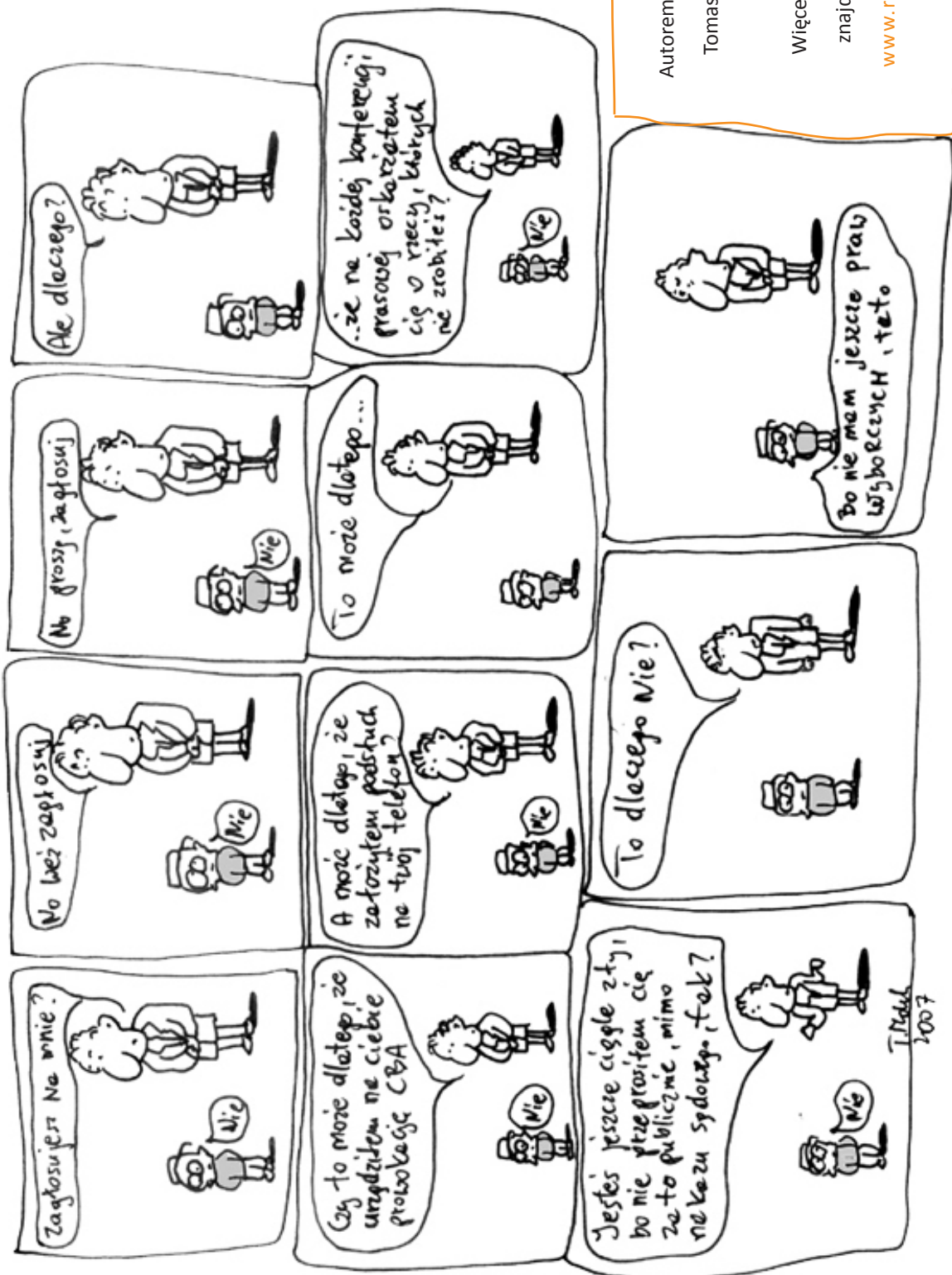
„Prowde dziś tracis, jutro znachodzis, a jak kolege stracis, to już przepadło”. Dziś studencki kącik kulinarny krążyć będzie wśród tych znaczeń. Bostudent raz jest głodny, raz nie, ale pewnym jest, że nigdy nie je sam.

Przedstawiam Wam „Żurek po oligarchijsku” według przepisu kolegi Kuby, któremu zawdzięczam ten jakże zacny i sycący posiłek. Idea zupy, stworzonej jak wiemy dla prawdziwych mężczyzn, potrzebujących ogromnej energii w każdej sytuacji, wymaga ogromnej ilości cebuli. Cebula to słowo klucz morskich rejsów, biwaków w puszczy i naturalnie smacznej kuchni. W żurku po oligarchijsku cebula to podstawa smaku, należy dodać jej tak dużo, jak tylko uda nam się skroić. Zaczniemy jednak od początku.

Wszystko zaczyna się od wyboru zakwasu; domowy, kupiony lub proszkowy. Naturalnie najzdrowszym będzie ten zrobiony samemu, jednak w przypadku żurku w proszku smak będzie mniej kwaśny i nie zaburzy nam smaku cebuli. Kupujemy więc żurek w proszku jednej z renomowanych firm, które kreują w reklamach postać kobiety nie potrafiącej samodzielnie ugotować rodzinie obiadu. Wsypujemy go do obranej ilości litrów wody lub dowolnego wywaru, w którym wcześniej gotowaliśmy pokrojone ziemniaki, poćwiartowane marchewki, natkę pietruszki i to, na co jeszcze mamy ochotę. Wszystko przyprawiamy pieprzem, solą i tym, co znajdziemy w szafce – według uznania. Teraz przechodzimy do męskiej strony kuchni. Zaopatrujemy się w doskonałą wędlinę, kiełbasę i boczek tak, by po usmażeniu coś nam z nich na patelni zostało. Najlepsze wędliny dostaniemy oczywiście u Jana Labusa w Rudzie Śląskiej, ale dobra ilość przypraw pozwoli nam przełknąć nawet opcję hipermarket. Wędliny i duże ilości cebuli rumienimy na smalcu do czasu, który uznamy za właściwy. Następnie użyte półprodukty łączymy ze sobą w garnku, dodajemy kilka zmiażdżonych ząbków czosnku oraz wcieramy trochę chrzanu prosto z korzenia. Pamiętajmy, by przed przeciśnięciem ząbka czosnku przez praskę odciąć jego zewnętrzne części i rozgnieść go kośćmi nadgarstka na blacie dziesięć minut przed ugotowaniem. Zmaksymalizujemy dobroczynne działanie allicyny, jeżeli nie będziemy gotować czosnku dłużej niż sześć minut. Tuż przed podaniem żurku po oligarchijsku, dodajemy do niego jeszcze pokrojone jajka ugotowane na twardo i jeżeli lubimy, zabelamy go śmietaną. Ta bomba energetyczna nasyci niejedną pokój przed imprezą, a i w trakcie jej trwania okaże się doskonałą zagrychą. Smacznego.



k o m i k s



Autorem komiksu jest

Tomasz Makuch.

Więcej jego prac
znajdziecie na

www.rudakoff.pl

Kampania na Rzecz Świadomego Rodzicielstwa

rusza po raz trzeci

Już po raz trzeci rusza Kampania na Rzecz Świadomego Rodzicielstwa „Kiedy 1+1=3”, której celem jest promowanie odpowiedzialnych zachowań seksualnych, świadomości antykonceptyjnej oraz świadomego planowania rodziny. Na potrzeby III edycji kampanii CBOS przeprowadzi badanie dotyczące sytuacji dziadków – rodziców młodocianych rodziców. Akcje edukacyjne w ramach tzw. Miesiąca Świadomego Rodzicielstwa tradycyjnie odbędą się w 5 miastach Polski. Tym razem Kampania odwiedzi Zieloną Górę, Kraków, Katowice, Kielce i Rzeszów.

Kampania na Rzecz Świadomego Rodzicielstwa jest odpowiedzią na potrzeby społeczne. Przeprowadzone w ubiegłych latach w ramach kampanii badania we współpracy z Centrum Badania Opinii Społecznej* wykazały, że ponad 51% młodych Polaków uważa, że edukacja na temat życia seksualnego i środków antykonceptyjnych, którą obecnie młodzież otrzymuje w szkole jest niewystarczająca.

Również młodociane matki** przyznają, patrząc z perspektywy czasu, że ich wiedza na temat życia seksualnego i środków antykonceptyjnych nie była wystarczająca. Prawie wszystkie uczestniczki badania uważają, że dziewczyny powinny być lepiej poinformowane o życiu seksualnym. Wg nich najważniejsza rola w tym zakresie przypadać powinna rodzicom, zwłaszcza matce oraz szkole, gdzie lekcje powinny być obowiązkowe.

„W tym roku zdecydowaliśmy się na zbadanie wraz z CBOS sytuacji dziadków – rodziców młodocianych rodziców. Wyniki badań pozwolą sporządzić obraz zjawiska młodocianego rodzicielstwa z perspektywy rodziców osób, które jako niepełnoletnie zostały rodzicami” – mówi Magdalena Bober, z firmy Gedeon Richter Marketing Polska Sp. z o.o., która jest inicjatorem kampanii – „Celem naszej kampanii jest promocja świadomego planowania rodziny oraz wiedzy o antykoncepcji, aby rodzicami stawali się ludzie dojrzały do decyzji o posiadaniu potomstwa”.

Natłok informacji i powszechne poruszanie przez media tematów związanych z seksem nie sprzyja rzetelnej edukacji seksualnej. Młodzi ludzie odczuwają brak kompetentnej wiedzy dotyczącej ich seksualności i antykoncepcji. Przekaz, jaki otrzymują, jest często niepełny i pozbawiony szerszego kontekstu (m.in. społecznego jak i emocjonalnego).

„Potrzeba edukacji i konieczność kontynuacji działań edukacyjnych nt. odpowiedzialnych zachowań seksualnych jest nieustanna. Towarzystwo Rozwoju Rodziny po raz kolejny z dużym zaangażowaniem włącza się do Kampanii” – mówi dr n. med. Grzegorz Południowski z Towarzystwa Rozwoju Rodziny.

Zorganizowane w ubiegłych latach akcje edukacyjne w ramach Miesiąca Świadomego Rodzicielstwa w Białymstoku, Krakowie, Olsztynie, Łodzi, Poznaniu, Toruniu, Gdańsku, Wrocławiu, Lublinie cieszyły się dużym zainteresowaniem.

W tym roku akcje świadomościowe odbędą się w kolejnych 5 miastach:

- » 23 maja w Zielonej Górze (Plac Bohaterów Westerplatte)
- » 30 maja w Krakowie (Mały Rynek),
- » 6 czerwca w Katowicach (parking przed Galerią Silesia City Center)
- » 13 czerwca w Kielcach (Plac Artystów)
- » 20 czerwca w Rzeszowie (Rynek Główny)

* Badanie CBOS, kwiecień 2008, reprezentatywna próba ogólnopolska 495 osób w wieku 13-21 lat przeprowadzone na zlecenie organizatorów Kampanii na Rzecz Świadomego Rodzicielstwa „Kiedy 1+1=3”

** Badanie CBOS, kwiecień 2008, wywiady pogłębione z 30 młodocianymi matkami z różnych regionów Polski, 14 kobiet urodziło w ciągu ostatnich 12 miesięcy, 6 nie później niż 5 lat temu, 5 ponad 5 lat temu i 10 ponad 10 lat temu przeprowadzone na zlecenie organizatorów Kampanii na Rzecz Świadomego Rodzicielstwa „Kiedy 1+1=3”

Kiedy 1+1=3

EDYCJA 3



Kampania na Rzecz Świadomego Rodzicielstwa

Miesiąc Świadomego Rodzicielstwa uwzględnia w kalendarzu Dzień Matki, Dzień Dziecka oraz Dzień Ojca, aby w tym czasie przypomnieć o sprawach, które mają wpływ na kształtowanie szczęśliwej rodziny.

W ramach każdego spotkania w namiocie Kampanii będzie można skorzystać z porad ekspertów: ginekologów i/lub seksuologów. Organizatorzy przewidują dystrybucję materiałów edukacyjnych w postaci broszury „**Przewodnik po antykoncepcji czyli jak świadomie planować rodzinę**”. Dodatkowo młodzież będzie mogła wziąć udział w quizach edukacyjnych, a dzieci w zabawach dotyczących tematu rodziny pod opieką animatora.

Podobnie jak w ubiegłych latach, patronat honorowy nad Kampanią objęły **Polskie Towarzystwo Rozwoju Rodziny** oraz **Polskie Towarzystwo Ginekologiczne**. Partnerem strategicznym Kampanii jest firma Gedeon Richter – patron świadomego rodzicielstwa.

Więcej informacji o kampanii można znaleźć na
www.swiadomerodzicielstwo.com

WKREĆ SIĘ!

W piśnię

... w końcu chodzi o 5 tysięcy...

Taki mamy nakład, a TY przecież – tak stojąc i czytając te słowa – z pewnością stwierdzisz, że czas już najwyższy...

Damy Ci szansę sprawdzenia się, pokazania, a co najważniejsze – tworzenia razem z nami tego czasopisma! Nawet nie myśl o tym, ile czasu możesz czekać na kolejną taką propozycję. Daj się poznać już dziś, napisz do nas!

ngp.redakcja@gmail.com

**Odwiedź nasze forum
i zobacz wersję elektroniczną...**

... bo zależy nam na Twojej opinii!

Masz sugestie, pomysły?

Chcesz wyrazić swoją opinię na temat numeru?

Zapraszamy na forum i stronę internetową:

<http://www.ngpkatowice.fora.pl/>

<http://issuu.com/nowygwozdzprogramu>